

ze stanem faktycznym, pełniłoby w tamtych czasach rolę tzw. „wilczego biletu”, który uniemożliwiałby danej osobie zatrudnienie się gdziekolwiek indziej. Jednak w sytuacji zaistniałej po wrześniu 1980 roku należało uczynić sprawę jednoznaczną i Pani Profesor składała przytoczone powyżej wyjaśnienie (w efekcie starań NSZZ „Solidarność” UŁ Włodzimierz Gromiec został przywrócony do pracy na uczelni w marcu 1981 roku).

Z innych wspomnień przytoczę jedno świadczące o tym, że Pani Profesor nie ograniczała swojego zainteresowania studentami do kwestii merytorycznych, lecz troszczyła się o ich sprawy wybiegające poza ten obszar. Jeszcze jako studentka filozofii, a zarazem początkująca asystentka na tym kierunku (miałam bowiem magisterium z innej dziedziny), zaczęłam uczęszczać na seminarium z etyki. Z powodu złamanej nogi Pani Profesor prowadziła je w swoim mieszkaniu. Ponieważ roczniki studentów filozofii były wówczas nieliczne, to zdarzało się, że uczestniczyłam w tych zajęciach sama. Kiedyś w takiej sytuacji Profesor Pawłowska zainteresowała się moją dalszą drogą życiową i zapytała wprost: „Czy zdecydowała się pani uprawiać w przyszłości zawód pracownika naukowego?”. Odpowiedziałam, że tak, byłam jednak zdziwiona samym pytaniem i nieświadoma jego kontekstu. „To proszę wziąć pod uwagę – kontynuowała Pani Profesor – że jest to bardzo trudny zawód, szczególnie dla kobiety”. Wtedy nie rozwijałyśmy tego tematu, ale zaistniał on zarówno dla mnie, jak i w moich relacjach z Panią Profesor, bo po pewnym czasie wróciła do niego, wskazując na inną stronę naszej profesji. Przytoczyła wtenczas z aprobatą wypowiedź prof. Marii Ossowskiej, że uprawianie zawodu pracownika naukowego jest przyjemnością, „a jeszcze za to płacą”.

Wart podkreślenia jest również sposób prowadzenia seminarium przez Profesor Pawłowską. Zabierali na nim głos przede wszystkim studenci, i to oni dyskutowali ze sobą. Pani Profesor rzadko interweniowała i nie wygłaszała żadnych kategorycznych ocen, również w sytuacjach, kiedy ewidentnie nie zgadzała się z prezentowanym przez kogoś stanowiskiem. Pytała wtedy: „A czy jest pan/pani tego pewien/pewna?”, „Czy wierzy pan/pani w to?”. Po latach zrozumiałam dydaktyczną i wychowawczą moc takiego podejścia. O ile kategoryczność stwierdzeń prowadzącego często osłabia zawarty w nich przekaz, to pytanie stanowi dla zagadniętego otwarte zadanie, które prowokuje do zastanawiania się nad daną kwestią, uwypukla jej problematyczność.

Kontakt z Panią Profesor Pawłowską dawał do myślenia o wielu sprawach związanych nie tylko z filozofią.

J O A N N A J A B Ł K O W S K A

Bardzo dziękuję za zaproszenie do tej dyskusji czy raczej do wspomnień o Pani Profesor Iji Lazari-Pawłowskiej.

Nie studiowałam filozofii, uczęszczałam natomiast na niektóre wybrane wykłady. Dość wcześnie, wydaje mi się, że to było na drugim roku, trafiłam na wykład Pani Profesor, który odbywał się w gmachu Wydziału Ekonomiczno-Socjologicznego i przeznaczony był chyba dla socjologów. Od tego czasu byłam wierna zajęciom Pani Profesor. Potrafiła mówić w taki sposób o kwestiach wydających się banalnymi, że stawały się ważne czy też niezwykle. Do opisu atmosfery na jej seminariach i wykładach można posłużyć się pojęciem Benjaminowskiej „aury”. Była to atmosfera niepowtarzalna i wyjątkowa.

Wspomniany wykład, na który trafiłam po raz pierwszy, poświęcony był m.in. Schweitzerowi i jego *reverence for life*, czyli szacunkowi czy też czci dla życia. Pani Profesor opowiadała o tym, jak Schweitzer starał się nie nadepnąć żadnej mrówki ani żadnego pajęczka. Jako młodej studentce wydawało mi się to nieco śmieszne, ale w ustach Pani Profesor, która w autentyczny sposób przeżywała postawę Schweitzera, uszanowanie każdego, nawet najbardziej prymitywnego życia istniejącego w naturze, było niezwykle. Pani Profesor była przekonana o tym, że tak właśnie powinniśmy podchodzić do otaczającej nas przyrody: z czcią. Nie była to postawa religijna, lecz potrzeba otoczenia opieką moralną każdej istoty, nawet owada.

Gdy byłam już asystentką, postanowiłam napisać pracę doktorską poświęconą idei tolerancji w twórczości szwajcarskiego pisarza Maxa Frischa. Gdyby dziś przyszedł do mnie student czy doktorant z takim pomysłem, to bym mu ten temat odradziła, ponieważ zdawałabym sobie, jako literaturoznawca, sprawę z problemów metodologicznych związanych z tego typu problematyką. Wówczas jednak opieka nad młodymi adeptami nauki na filologii germańskiej daleka był od starannej; nie znalazłam wtedy pomocy wśród moich profesorów i sformułowałam swój temat samodzielnie, nie zdając sobie sprawy z trudności, jakie napotkam. Zwróciłam się do Pani Profesor z prośbą o pomoc. Muszę podkreślić, że Ija Lazari-Pawłowska była jedynym „prawdziwym” profesorem, z jakim się wtedy zetknęłam, profesorem, który rozumiał swą misję jako obowiązek wobec nauki i wobec młodych ludzi, mających ambicję pracować naukowo. Zawdzięczam jej, że mój doktorat powstał i jakoś udało mi się w nim związać ze sobą problematykę etyczną z analizą literaturoznawczą. Pomagała mi w sposób niezwykle. Nie zgadzała się z moim instynktownym, bardzo dyletanckim – jak to obecnie widzę – rozumieniem tolerancji. Interpretowałam tolerancję jako rezultat relatywizmu etycznego, z czym Pani Profesor oczywiście się nie zgadzała. Nigdy nie próbowała mnie jednak przekonać ani do swoich przemyśleń, ani o wyższości swego stanowiska naukowego nad moim. Nie dawała do zrozumienia, że nie jestem dostatecznie przygotowana, by podejmować z nią dyskusję o problemach, którymi zajmowała się od wielu lat. „Podrzucała” mi natomiast książki, które mogłyby stać się dla mnie przydatne.

Wiele się dowiedziałam o problemach, o których powinnam się była uczyć na studiach. Nasz program nie obejmował jednak zagadnień związanych ze współczesną filozofią niemiecką, z etyką czy z niemieckim dyskursem rozliczeniowym.

Od Pani Profesor dowiedziałam się, kim byli Weber, Jaspers, Popper, Adorno. Dowiedziałam się o istnieniu Marion Gräfin Dönhoff. Podsuwała mi dyskretnie książki, które powinnam była znać.

Gdy mówię czasem swoim studentom, żeby mnie posłuchali, ponieważ wiem coś lepiej od nich, przypominam sobie Panią Profesor Pawłowską, która stosowała inną metodę dydaktyczną. Nie próbowała przekonywać, lecz polecała książki, dyskutowała, sprzeczała się. Nie odrzucała jednak stanowiska ucznia, nie dawała do zrozumienia, że młody pracownik mówi coś niemądrego. Traktowała go jako równouprawnionego partnera, i co więcej, chyba sama wierzyła w to, że nim faktycznie był. Teraz zdaję sobie z tego sprawę, że mówiłam wiele rzeczy niemądrych, ale Pani Profesor mi tego nie powiedziała i za to jestem jej dożgonnie wdzięczna. Jestem jej wdzięczna za seminaria, na które uczęszczałam od końca lat 70. Były to zajęcia kultowe odbywające się co poniedziałek, zawsze o tej samej porze. Skupiały bardzo różnych ludzi: studentów uczęszczających na nie z obowiązku, asystentów Pani Profesor, innych pracowników UŁ z różnych wydziałów i wolnych słuchaczy z innych uczelni. Każdy mógł przyjść, nie było trzeba pozwolenia, nie było listy obecności. Przede wszystkim nie było żadnego „programu” do „przerobienia”, w ogóle nie istniało pojęcie programu – ustalaliśmy wiodącą problematykę seminarium i rozmawialiśmy, dyskutowaliśmy, czasem ktoś miał referat. Pani Profesor pożyczała nam książki, które bywały nie do zdobycia. Czasami kopiowała dla nas coś za granicą, bo u nas kopiarek przecież nie było. Kto znał jakiś język obcy, mógł czytać w tym języku i dalej to przekazywać. Nie były to usystematyzowane zajęcia, nie mieliśmy zadawanej pracy, a część osób nie potrzebowała żadnych zaliczeń; polegały na tym, że Pani Profesor była „guru” dla nas wszystkich, tworzyła atmosferę rozmowy. Dopuszczała do głosu poglądy z naukowego punktu widzenia bezsensowne lub takie, z którymi się nie zgadzała, po czym korygowała je z właściwym sobie wdziękiem: nie w sposób autorytarny, nie ucinając dyskusji, lecz rozmawiając tak, jakby to ona uczyła się od nas. Tworzyła możliwość swobodnej wymiany myśli w czasach trudnych, gdy swoboda myśli bywała karana. Stąd seminaria u Pani Profesor Pawłowskiej były tak cenne.

Z mojej obecnej perspektywy wolna dyskusja w humanistyce to jedyna formuła pozwalająca na wychowanie dorosłej i już ukształtowanej młodzieży. Mam wrażenie, że w czasach masowego kształcenia metoda taka jest już coraz mniej popularna. Stąd wspominam seminaria z Panią Profesor jako prawdziwe zajęcia akademickie, a samą Iję Lazari-Pawłowską jako profesora z minionej epoki, z dziwactwami – bo miała swoje dziwactwa – ale z autentyczną charyzmą.

Pani Profesor zapraszała uczniów do domu. Gdy przyjeżdżał szczególny gość, były to spotkania, na których zbierało się kilkanaście, czasem nawet więcej osób. Zawsze było coś do jedzenia. Współczesna młodzież tego nie pamięta, ale w latach 80. nie było łatwo zorganizować przyjęcie. Sklepy świeciły pustkami, a o czymś takim jak catering nawet nie słyszeliśmy. Zdałam sobie sprawę z tego, jaki to był

wysiłek dla Pani Profesor, gdy kiedyś przyjechał niemiecki filozof, który hospitaował razem z Panią Profesor moje zajęcia. Zaproponowałam, że może ja zaproszę go do domu i zrobię risotto, bo wtedy to było moje danie: dość łatwe, ponieważ ryż i jarzyny były osiągalne. Pani Profesor była niezwykle wdzięczna; mówiła, że ją bardzo odciążyla. Teraz to rozumiem, że zrobienie przyjęcia musiało być dla niej dużym wysiłkiem. Organizowała jednak spotkania u siebie, abyśmy mogli poznać ludzi, których ceniła. Dzięki niej wiele młodych osób zyskało jakiś kontakt na tak zwanym „Zachodzie”.

Będę zawsze pamiętać Panią Profesor jako wspaniałego nauczyciela i ciepłego, życzliwego innym człowieka.

RYSZARD KLESZCZ

Ija Lazari-Pawłowska. Spotkania – rozmowy – oddziaływanie

1. Moje pierwsze spotkanie z Panią Profesor Iją Lazari-Pawłowską miało miejsce w roku 1973, w trakcie rozmowy rekrutacyjnej na studia filozoficzne. Należy bowiem pamiętać, że ówczesne studia filozoficzne na Uniwersytecie Łódzkim były tzw. studiami równoległymi, to znaczy podjąć je mogły osoby, które miały ukończone co najmniej cztery semestry innych studiów wyższych. W momencie zgłoszenia na studia filozoficzne miałem już faktycznie ukończone studia prawnicze, pozostało mi tylko przygotowanie pracy magisterskiej i zdanie egzaminu magisterskiego, co zamierzałem uczynić podczas pierwszego roku filozofii. Rekrutacja na te studia sprowadzała się do odbycia rozmowy kwalifikacyjnej. Kandydatów obowiązywało przygotowanie dwóch lektur z listy, w skład której wchodziły głównie klasyczne i współczesne teksty filozoficzne. W wykazie było także kilka tekstów klasyków marksizmu. Te ostatnie jednak, łącznie nawet z nielicznymi współczesnymi pozycjami marksistowskimi, nie dominowały na tej liście. Ja, jak to dobrze pamiętam, przeczytałem jakieś teksty A. Comte'a oraz książkę S. Kozyra-Kowalskiego *Max Weber a Karol Marks*¹. Ta druga pozycja wzbudziła moje zainteresowanie i przestudiowałem ją dokładnie, choć marksistowska krytyka stanowiska Webera, jaką przeprowadził w swej pracy Kozyr-Kowalski, zupełnie mnie nie przekonała. Co więcej, efektem tej lektury było wzmocnienie przekonania (wcześniej raczej ogólnikowego, z uwagi na dość powierzchowną znajomość Webera), że w tym sporze racja leży po stronie Webera. Być może było tak dlatego, że tak wówczas, jak i dziś, nie wykazuję żadnych skłonności ani do heglizmu, ani też do marksizmu. W każdym razie to Weber stał się przedmiotem rozmowy kwalifikacyjnej, w której reprezentantami ówczesnych nauczycieli filozofii na Uniwersytecie Łódzkim była trójka najwybitniejszych

¹ Pełny tytuł tej książki: S. Kozyr-Kowalski, *Max Weber a Karol Marks. Socjologia Maxa Webera jako „pozytywna krytyka materializmu historycznego”*, Warszawa, PWN 1967.